

## Osobiste wspomnienie o Maćku Krawczyńskim

---

Telefon odezwał się niespodziewanie w letni, niedzielny wieczór.

– Andrzej? – usłyszałem w słuchawce martwy głos Aśki.

– Maciek od nas odszedł – poraziła mnie jak grom z jasnego nieba straszna informacja.

– Jak to, odszedł? – nie mogłem zrozumieć. Przecież w piątek jeszcze był w pracowni. Ustalał co z rozgrzebaną kartą informacyjną przedsięwzięcia, chwalił się, że zostanie teściem, pytał pracowników o wrażenia z urlopu. Firmę projektową prowadziliśmy wspólnie od bez mała 30 lat. Spędziliśmy ze sobą więcej czasu niż ze swoimi żonami. Znałem go więc na wylot...

Maciej Krawczyński urodził się 24.02.1959 roku w Krakowie. Podstawówkę skończył nietypową, bo francuską i to w Libii, gdzie jego ojciec zatrudniony był na kontrakcie. Po powrocie do Polski, różnice programowe nie ułatwiły mu startu w krakowskim Nowodworku. Po jego ukończeniu podjął studia na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. Na Politechnice też rozpoczął pracę zawodową – w „Płazówce” – Pracowni Regionalnej PK w Zakopanem. Wraz z kolegami z „Płazówki” założyli Pracownię Projektową A4 – jedną z pierwszych po transformacji ustrojowej tego typu firm w Zakopanem.

Uczył też w słynnym na całym Podhalu Technikum Budowlanym, wylęgarni zakopiańskich architektów. Maciek do swoich wykładów z projektowania architektonicznego podchodził, jak zawsze do wszystkiego co robił, z pełnym zaangażowaniem. Inaczej nie potrafił. Wobec braku odpowiednich, aktualnych podręczników sam napisał, opracował i wydał we własnym zakresie skrypt daleko

wykraczający poza wąsko rozumiany zakres swojego przedmiotu. To prawdziwe kompendium wiedzy projektowej obejmowało również między innymi elementy historii architektury, zagadnienia z zakresu planowania przestrzennego i urbanistyki, a nawet niektóre szczegółowe aspekty techniczne i było wykorzystywane w szkole przez długie lata po zakończeniu Jego kariery pedagogicznej.

W 1993 roku wygrał konkurs na stanowisko Naczelnika Wydziału Urbanistyki Architektury i Nadzoru Budowlanego Gminy Tatrzańskiej obejmującej wtedy Zakopane oraz obecne gminy Kościelisko i Poronin. Właśnie wtedy zetknęły się nasze ścieżki. Już po roku piastowania funkcji Architekta Miejskiego Zakopanego udało się mu doprowadzić do uchwalenia pierwszego postkomunistycznego planu zagospodarowania przestrzennego miasta.

Ten plan, to była niejako matka większości późniejszych opracowań urbanistycznych znacznej części Powiatu Tatrzańskiego. Szczegółowe zapisy dotyczące zasad kształtowania zabudowy, które wtedy wspólnie wymyśliliśmy, o które kłóciliśmy się nocami i które w końcu udało się nam przeforsować były nowatorskie, ale wzbudziły niechęć środowiska. Skupiła się ona głównie na Maćku. Koledzy mieli mu za złe takie ograniczanie swobody projektowania. Dziś te zapisy są powtarzane i rozwijane prawie we wszystkich współczesnych planach Zakopanego, gmin Poronin i Kościelisko, a czasami również innych, nawet spoza Podhala. I nikt nie wyobraża sobie, że mogłoby ich nie być. A po trzydziestu latach, efekty ich funkcjonowania widać w krajobrazie gołym okiem.



Zasługą Maćka było wtedy również wynegocjowanie z dyrekcją TPN kompromisu dotyczącego przepustowości kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Nikomu wcześniej to się nie udało. Ale rozmowy, dyskusje i negocjacje to był żywioł Maćka i w tym się czuł najlepiej. W efekcie umożliwiło to długo oczekiwaną modernizację oraz przebudowę głównej kolejki i tej w kotle Gąsienicowym. Bardzo był dumny z tego swojego osiągnięcia. Ja przeciwnie.

– Bo ty byś nawet parking zaporowy dla Morskiego Oka zorganizował na Borku Fałęckim, zastrany ekologu – wkurzał się na mnie. Jako zagorzałego fana rozwoju motoryzacji denerwowały go też moje obawy w związku z budową nowego odcinka autostrady A4:

– Jak masz ochotę przykuć się do drzewa na Górze Świętej Anny, to proszę bardzo. Możesz się tam udać, ale nie samochodem. Samochody są przecież nie ekologiczne. Dymaj na piechotę. W brzozowych łapciach.

W 1995 roku, założyliśmy pracownię architektoniczną Studio 51°, którą wspólnie prowadziliśmy i rozwijaliśmy aż do Jego śmierci. Pamiętam, jak opracowywaliśmy projekt koncepcyjny olimpijskiego centrum radiowo-telewizyjnego w związku z przygotowaniem kandydatury Zakopanego do zimowej Olimpiady w 2006 roku. Mieliśmy na to dwa tygodnie.

– Który z was będzie referował projekt podczas wizyty w Zakopanem Komisji MKOL? – zapytał Tomek z komitetu organizacyjnego.

– No chyba Maciek – odpowiedziałem. Zawsze był bardziej wygadany.

– Dobra. Powiedz mu, że ma się elegancko ubrać. I koniecznie mu przekaż: żadnych białych skarpetek – uczulił mnie Tomek. W Zakopanem znane było zamiłowanie Maćka do tego, uważanego wtedy za obciachowy, elementu garderoby. Nazajutrz, po posiedzeniu komisji poprosiłem, aby streścił mi swoje wystąpienie. Po pierwszych dwudziestu minutach udało mi się mu przerwać:

– Maciek, miałeś mi to streścić. A ty lecisz detale nawet nie w 1:10 czy 1:5, tylko w 5:1. Opowiedz mi to w pięćsetce, albo w tysiącce.

Starał się jak mógł, ale nie potrafił. A gdy w końcu, po obszernym wstępie, doszedł do samej swojej prezentacji, czas jakby się zatrzymał. Maciek opisywał sugestywnie jak wolno wirowały płatki śniegu za potężnym przeszkleniem sali konferencyjnej w hotelu Kasprowy, o czym myśleli w tym momencie poszczególni członkowie komisji i jak on sam rozgryzł o czym oni myślą, aby rozegrać ich psychologicznie. Myślałem, że ta jego relacja zajmie nam piętnaście minut, a tu pół dniówki poszło się paść. Po czterech godzinach zapytałem ile trwało jego wystąpienie.

– Każdy z referujących miał dwie minuty na swój temat – odparł, nie dostrzegając uszczypliwości mojego pytania. Trzeba jednak przyznać, że miał niesamowity dar snucia opowieści. Robił to barwnie, obrazowo, ze swadą i dowcipem, trzymając do końca w napięciu. Moje wspomnienia z Alp czy Andów blakły przy jego opisie beskidzkich włości z czasów szkolnych i Rysianki, gdzie w zimie, nawet w samo południe na krystalicznie czystym, granatowym niebie, widać było gwiazdy. Słuchało się tych opowieści z zapartym tchem nawet za drugim, trzecim czy czwartym razem, bo wzbogacał je ciągle o nowe, nieznane elementy. I nasyczał swoją wiedzą. A miał ją niewyobrażalnie rozległą i to w każdej dziedzinie. W czasach przed internetowych zastępował nam wujka Googla. Jeżeli pilnie potrzebowało się jakiejś informacji, wystarczyło zapytać Maćka. Tak było najprościej i najszybciej. Znał się na wszystkim.

Kiedyś chciałem kupić chrześniakowi piłkę do koszykówki. Oczywiście zapytałem Maćka jakiej powinna być firmy i na co powinienem zwrócić uwagę. Do dziś pamiętam jak ciężkiego szoku wtedy doznałem, gdy odpowiedział mi, że na piłkach do koszykówki się nie zna. Cały porządek świata wyrzucił mi się do góry nogami. Na szczęście to był jedyny taki przypadek.

Szczególnie głęboka była wiedza techniczna Maćka. Nie bez przyczyny nazywaliśmy go Inżynierem. Bo on faktycznie był prawdziwym inżynierem przez duże I, w dawnym, szerokim, a nie współczesnym,

zawężonym do jednej, wąskiej specjalizacji, znaczeniu tego tytułu. Inżynier ogarniał, rozumiał, czuł i podziwiał zasadę działania każdego urządzenia technicznego, ze szczególnym uwzględnieniem pojazdów marki BMW i Wartburg. Potrafił nie tylko z pasją szczegółowo objaśniać jak te cudenka działają, ale opisać ich ewolucję i przytoczyć związane z nimi ciekawostki historyczne. Gdy potrzebowałem zmienić opony, cytował mi z głowy parametry poszczególnych modeli rozmaitych firm do drugiego miejsca po przecinku. No i oczywiście potrafił wszystko naprawić. Albo samemu, własnoręcznie skonstruować w swoim garażu. Chińskiego quada komunijnego przerobił na prawdziwego krążownika szos i objechał nim dookoła całą Europę.

Tą swoją wiedzą i umiejętnościami dzielił się chętnie z każdym. Z każdym, bo Inżynier był niezwykle otwarty i kontaktowy. Skracanie dystansu i nawiązywanie znajomości było jego specjalnością. Zwykle już po pierwszych trzydziestu sekundach ze swobodą przechodził na ty, a po dalszych trzech godzinach znało już się szczegóły Jego życiorysu i miało się wrażenie długoletniej znajomości. Przy czym zawsze potrafił też słuchać i w razie potrzeby chętnie służył radą. Nigdy nie odmawiał pomocy. Zresztą nie trzeba Go było wcale o nią prosić. Zawsze był gotów przepchać zatkaną rurę kanalizacyjną czy naprawić odpadające, boczne lustro. Albo nic nikomu nie mówiąc, po cichu wymienić pracownikowi stare, potłamane kołpaki na zakupione przez siebie, nowe.

Na Maćka w ogóle zawsze można było liczyć. Wiem, że brzmi to banalnie, ale po prostu był dobrym człowiekiem. W pracowni dobrze się uzupełnialiśmy, choć jak w każdym małżeństwie czasami było huśtawo. Inżynier jako upierdliwy perfekcjonista przywiązywał szczególną wagę do aspektów technicznych i dopracowywał projekty do ostatniej śrubki. Ja z kolei bardziej koncentrowałem się na formie. We wspólny dorobku mamy kilkaset realizacji obiektów różnej skali – od lamp na Krupówkach po zespoły zabudowy mieszkaniowej, hotele i biurowce, rozsiane po całej Polsce i Europie, a nawet w Stanach. Od startu wspólnej działalności numerowaliśmy opracowane razem tematy. Maćka licznik zatrzymał się na numerze 644.

Zawsze wydawało mi się, że to mnie z racji starszeństwa przyjdzie pierwszemu brać się ku owcom. A tu taki numer mi wykręciłeś Maćku. I kto teraz, psiocząc na drogowników, rozwiąże układ komunikacyjny na zagospodarowaniu terenu? Kto naprawi spłuczkę w pracownianym kiblu. Wiem, że widzisz tam z gór, jak Cię tutaj obsmarowałem. Nigdy się nie obrażałeś gdy Ci dokuczałem i z Ciebie żartowałem. Teraz też pewnie tylko uśmiechasz się ostrzegawczo i zaraz, jak zwykle rzucisz:

– Uważaj, stąpasz po kruchym lodzie...

Andrzej Orłowski